

AUTORKA BESTSELLERÓW
Z PIERWSZYCH MIEJSC „NEW YORK TIMESA”

J.R. WARD

DOLA ANIOŁÓW

CYKL KRÓLOWIE BOURBONA

MARGINESY



J.R.
WARD

DOLA
ANIOŁÓW

PRZEŁOŻYŁA AGNIESZKA WILGA

MARGINESY

Dedykację prosto z serca otrzymuje
LeElla Janine Scott

The Angels' Share

COPYRIGHT © Love Conquers All, Inc., 2016

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.

This edition published by arrangement with the New American Library,
an imprint of Penguin Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Agnieszka Wilga

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,

WARSZAWA 2017

Most Big Five, Charlemont, Kentucky

Jonathan Tulane Baldwin wychylił się przez barierkę nowego mostu łączącego Charlemont w stanie Kentucky z sąsiadującym z nim miastem New Jefferson w stanie Indiana. Piętnaście metrów niżej płynęła rzeka Ohio, w której odmętach odbijały się kolorowe światełka zdobiące każde z pięciu przeseł mostu. Staął na palcach i przez chwilę zdawało mu się, że leci w dół, ale było to tylko złudzenie.

Wyobrażał sobie, jak jego ojciec skacze z tego właśnie miejsca na spotkanie śmierci.

Ciało Williama Baldwin'a znaleziono dwa dni wcześniej nieco poniżej wodospadów na rzece Ohio. Pomimo wszystkich życiowych osiągnięć i wielkich ambicji zakończył on swój ziemski żywot przy hangarze dla łodzi, gdzie jego sponiewierane szczątki zaplątały się w liny koło starego trawlera wartego jakieś dwieście, góra trzysta dolarów.

Co za upokorzenie!

Jakie to uczucie tak spadać? Pewnie poczuł na twarzy nagły pęd powietrza, gdy siła ciężenia pchała go prosto w wodę. Ubranie musiało mu trzepotać niczym flaga, smagając korpus i kończyny. Oczy zapewne łzawiły, choćby od samego podmuchu, a może nawet z powodu nagłych emocji?

Nie, raczej od podmuchu.

Uderzenie o taflę wody musiało boleć. A potem co? Pani-ka i nagłe wciągnięcie przez nos tej obrzydliwej cieczy? Dławiące uczucie duszenia? Czy też w wyniku uderzenia stracił po prostu przytomność i nie musiał się już niczym przejmować? Albo... Może w tej końcowej chwili, w wyniku nagłego skoku adrenaliny wywołanego upadkiem nastąpił zawał serca – kłujący ból pośrodku klatki piersiowej promieniujący wzdłuż lewego ramienia i uniemożliwiający pływanie, które mogłoby mu uratować życie? Czy wciąż był przytomny, gdy uderzyła w niego barka węglowa, której śruba go przemieliała? Jedno było pewne: w chwili gdy znalazł się poniżej wodospadów, był już martwy.

Dobrze by było mieć pewność, że drań się nacierpiał – pomyślał Lane.

Świadomość, że William Baldwine odczuwał ból – potworny, dławiący ból połączony z panicznym, nieopanowanym strachem – stanowiłaby dla jego syna wielką ulgę, ukołoby emocje wywołane przez śmierć ojca w odmętach rzeki, w których Lane teraz tonął, choć stał na twardym podłożu.

– Sprzeniewierzyłeś ponad sześćdziesiąt osiem milionów dolarów – rzucił Lane w stronę niewzruszonej otchłani, leniwego nurtu rzeki i obojętnego na wszystko wiatru. – A firma jest zadłużona na jeszcze więcej. Coś ty, do diabła, zrobił z tymi pieniędzmi? Gdzie one się podziały?

Oczywiście nie mógł liczyć na żadną odpowiedź. Nie mógłby zresztą na nią liczyć nawet wówczas, gdyby ojciec wciąż żył i usłyszał te pytania z ust syna.

– A do tego jeszcze pieprzyłeś się z Chantal – wycodził przez zaciśnięte zęby Lane. – Z moją żoną! I to w tym samym domu, w którym mieszka moja matka. Pieprzyłeś się z moją żoną i zrobiłeś jej dziecko!

Wprawdzie małżeństwo Lane'a z Chantal istniało tylko na papierze, do którego podpisania został praktycznie przymuszony,

niemniej jednak nawet ta życiowa pomyłka leżała w strefie jego osobistych kompetencji i zamierzał sam sobie z nią poradzić.

– Nic dziwnego, że matka uzależniła się od leków i skrywa się przed światem. Pewnie się dowiedziała o tych skokach w bok i wie, jaki z ciebie drań, podły kutasie.

Lane zamknął oczy i zobaczył trupa – ale nie spuchnięte, plamiste i poszarpane zwłoki ojca leżące na stole w kostnicy, dokąd pojechał, żeby je zidentyfikować. Nie, ukazała mu się postać kobiety siedzącej sztywno w swoim gabinecie w Easterly, schludnie ubranej w skromną spódnicę i doskonale leżącą bluzkę zapinaną na guziki, z równo obciętymi, ledwie nieco zmierzwionymi włosami i w ubrudzonych trawą sportowych butach zamiast płaskich czółenek, które zwykle nosiła.

Jej twarz wykrzywiła się w koszmarnym grymasie przypominającym szalony uśmiech Jokera.

Co było rezultatem zażytego przez nią szaleju.

Lane znalazł jej ciało na dwa dni przed tym, jak jego ojciec skoczył z mostu.

– To przez ciebie pani Rosalinda nie żyje, skurczybyku. Przez trzydzieści lat pracowała w naszym domu, a ty ją wykończyłeś. Równie dobrze mogłeś sam ją zabić, na jedno by wyszło.

To za jej sprawą Lane dowiedział się o brakach w rodzinnych funduszach. Rodzinna księgowa zostawiła coś w rodzaju listu pożegnającego: pendrive z arkuszem kalkulacyjnym zawierającym listę mocno niepokojących przelewów na konto WWB Holdings.

William Wyatt Baldwine Holdings.

Miała sześćdziesiąt osiem milionów powodów, żeby się zabić. A wszystko wzięło się stąd, że ojciec Lane'a przymuszał ją do łamania zasad etyki, aż w końcu poczucie przyzwoitości kompletnie ją złamało.

– Wiem też, co zrobiłeś Edwardowi. Wiem, że to również twoja wina. Zleciłeś uprowadzenie własnego syna jakimś połud-

niowoamerykańskim zbirom. To na twoje polecenie go porwali, a ty odmówiłeś zapłacenia okupu, skazując go tym samym na śmierć. Chciałeś pozbyć się rywala w interesach, jednocześnie pozując na ojca pogrążonego w rozpacz. A może zrobiłeś to właśnie dlatego, że on wpadł na trop twoich machlojek?

Edward wprawdzie przeżył, ale stał się cieniem dawnego siebie, o mocno zaburzonym rytmie serca. Nie był już kandydatem na prezesa rodzinnej firmy, godnym następcą tronu.

William Baldwine wyrządził tyle zła...

A to tylko sprawy, o których Lane akurat jakoś zdołał się dowiedzieć. Co jeszcze może wyjść na jaw?

Oraz nie mniej ważne pytanie: co z tym wszystkim zrobić? Co on ma z tym zrobić?

Czuł się tak, jakby stał na mostku kapitańskim wielkiego okrętu, który właśnie znosiło na skaliste wybrzeże i któremu lada chwila miała się oberwać płetwa sterowa.

Czując nagły przypływ sił, przerzucił nogi przez solidną metalową barierkę. Jego mokasyny opadły na półkę o szerokości piętnastu centymetrów, stanowiącą krawędź mostu. Serce waliło mu jak młotem, z dłoni i stóp jakby odpłynęła krew, w ustach zaschło mu tak, że aż nie mógł przełknąć śliny. Zwieszony wzdłuż tułowia ręce wyciągnął nieco w tył i chwycił od dołu barierkę, po czym wychylił się jeszcze bardziej, patrząc w przepaść poniżej.

Jakie to uczucie?

Mógłby teraz skoczyć albo po prostu zrobić krok przed siebie i... spadać, spadać, spadać, aż dowiedziałby się już na pewno, co się czuje w takiej chwili. Czy gdyby teraz spadł, wypłynąłby potem przy tym samym hangarze dla łodzi? Czy jego ciało również natrafiłoby pośród brudnego nurtu rzeki Ohio na śrubę barki i zostało przez nią zmasakrowane?

W głowie wciąż rozbrzmiewały mu jasno i wyraźnie słowa wypowiedziane z silnym południowym zaśpiewem przez jego

mamunię: „Pan Bóg nie daje nam zadań, co ich nie damy rady dźwignąć”.

Wiara Aurory pozwoliła jej uporać się z wieloma trudnościami, które przeciętnemu człowiekowi trudno byłoby znieść. Jako Afroamerykanka dorastająca na Południu w latach pięćdziesiątych doświadczyła dyskryminacji i niesprawiedliwości w stopniu, jakiego Lane nie potrafił sobie nawet wyobrazić. A jednak nie tylko przetrwała, ale też ukończyła szkołę gastronomiczną i prowadziła kuchnię w Easterly w stylu znacznie przewyższającym możliwości niejednego francuskiego mistrza. A do tego jak nikt inny matkowała zarówno jemu, jak i jego braciom i siostrze, dzięki czemu dla wielu osób stała się prawdziwą duszą Easterly, ich jedyną ostoją.

A dla niego – światłem przewodnim stanowiącym jedyny jasny punkt na horyzoncie. Przynajmniej dopóki nie spotkał Lizzie.

Żałował, że nie ma w sobie takiej wiary jak Aurora. A zresztą – Boże drogi! – przecież Aurora wierzyła nawet w niego, wierzyła, że on zdoła jakoś to wszystko odwrócić, ocalić swoją rodzinę, stać się mężczyzną, którym jej zdaniem mógł być.

Stać się mężczyzną, jakim jego ojciec nigdy nie był, pomimo całej spowijającej go otoczki zamożnego człowieka sukcesu.

Skoczyć, mógł sobie po prostu skoczyć. I po sprawie.

Czy tak właśnie myślał jego ojciec? Gdy już wyszły na jaw wszystkie jego kłamstwa i przekręty, gdy śmierć pani Rosalindy stała się zapowiedzią całej serii koszmarnych odkryć... Czy William Baldwine zjawił się tu, ponieważ w pełni zdawał sobie sprawę ze skali swoich czynów i ogromu tego, co miało wkrótce wyjść na jaw? Czy zrozumiał, że to koniec gry, że jego czas się skończył, a wcześniejsze sukcesy finansowe nie wystarczą do rozwiązania problemów, które stworzył?

Czy może chciał tylko upozorować własną śmierć, ale niechcący udało mu się do niej doprowadzić?

Czy na jakimś koncie zagranicznym albo w skarbcu któregoś ze szwajcarskich banków znajdowały się – zdeponowane na nazwisko ojca lub kogoś innego – wyprowadzone z firmy pieniądze?

Tak wiele pytań, a odpowiedzi brak. Jeśli dodać do tego stres wynikający z konieczności opanowania całego tego chaosu, można już tylko oszaleć.

Lane ponownie utkwiał spojrzenie w wodzie. Z tej wysokości ledwo dostrzegał jej toń. Właściwie nie widział nic... oprócz czerni zdającej się gdzieś lekko połyskiwać.

Poczuł, że w drodze wybranej przez jego tchórzliwego ojca jest coś pociągającego, działającego niczym siłą grawitacji, ale przy najmniej prowadzącego ku rozwiązaniu, nad którym w pełni się panuje. Jedno mocne uderzenie i następuje ostateczny koniec – nie ma już zdrad, strat i trupów, znika to całe ognisko zapalne, które coraz trudniej opanować i o którym lada chwila miałyby się dowiedzieć opinia publiczna. W jednej chwili znikają wszystkie zmartwienia.

Czy w życiu jego ojca zdarzały się bezsenne noce? Czy dręczyło go sumienie? Gdy tak tutaj stał, czy przez chwilę wciąż jeszcze rozważał, czy powinien polecieć i raz na zawsze odciąć się od potwornego bałaganu, którego narobił? Czy choć raz zastanowił się nad konsekwencjami swoich czynów? Czy miał świadomość, że fortuna, której wypracowanie zajęło ich rodzinie ponad dwieście lat, została roztrwoniona, i to wcale nie przez całe pokolenie, tylko przez niego samego w rok czy dwa?

W uszach Lane'a świszczwał wiatr, jakby go namawiał do skoku.

Jego starszy brat Edward, wcześniej uosobienie doskonałości, niestety nie wyprowadzi już rodziny na prostą. Ich jedyna siostra Gin potrafi myśleć wyłącznie o sobie samej. Jego drugi brat Maxwell trzy lata temu przepadł bez wieści.

Ich otumaniona lekami matka nie opuszcza łóżka.

Wszystko więc spoczywa w rękach Lane'a: byłego playboya, pokerzysty bez żadnego znaczącego doświadczenia w finansach, zarządzaniu ani w ogóle jakimkolwiek praktycznym zajęciu.

Koniec końców mógł się pochwalić tylko tym, że zdobył serce dobrej kobiety.

Jednak w obliczu tak brutalnej rzeczywistości nawet to mu raczej nie pomoże.

Pikapy Toyoty zwykle nie rozwijają prędkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Zwłaszcza dziesięcioletnie.

Na szczęście prowadzący ją kierowca był w pełni rozbudzony, choć minęła dopiero czwarta rano.

Lizzie King z całej siły zaciskała dłonie na kierownicy i maksymalnie dociskała pedał gazu, zmierzając autostradą ku wznieśnieniu.

Obudziła się w swoim domu na farmie sama. Jeszcze niedawno nie byłoby w tym nic dziwnego, ale ostatnio wszystko się zmieniło, odkąd w jej życie ponownie wkroczył Lane Baldwin. Bogaty playboy oraz główna ogrodniczka jego rodzinnej posiadłości w końcu się ze sobą na poważnie związali, a pomimo wszystkich dzielących ich różnic więzy łączącego ich uczucia okazały się silniejsze niż połączenia między atomami diamentu.

Wiedziała, że będzie przy nim trwać, cokolwiek miałyby się zdarzyć.

Znacznie łatwiej jest zresztą wyrzec się niesłychanego bogactwa, jeśli się go wcześniej nie zaznało ani nie pragnęło – zwłaszcza zaś jeśli miało się okazję zajrzeć za te połyskujące stopy i na własne oczy zobaczyć smętne spustoszenie kryjące się pod powierzchnią prestiżu i luksusu.

Boże drogi, Lane żyje teraz w tak wielkim stresie...

Wstała więc z łóżka, zeszła po skrzypiących schodach i pokreśliła się chwilę po parterze swojego wiejskiego domku.

Wyjrzała na zewnątrz i zauważyła, że przy klonie rosnącym przed jej werandą nie stoi już porsche Lane'a. Zastanawiała się, dlaczego jej nie powiedział, że gdzieś sobie jedzie, i zaczęła się mocno niepokoić.

Minęło ledwie parę nocy od chwili, w której William Baldwin odebrał sobie życie, i tylko parę dni od momentu, gdy jego ciało znaleziono na brzegu rzeki Ohio poniżej wodospadów. Od tamtej pory Lane zdawał się nieobecny, jakby w głowie wciąż kłębiły mu się myśli o brakach w rodzinnych finansach, papierach rozwodowych, które dopiero co przekazał swojej pazernej żonie, nieopłaconych rachunkach za utrzymanie rezydencji, dramatycznej sytuacji w Bradford Bourbon Company, okropnym stanie fizycznym jego brata Edwarda i chorobie pani Aurory.

Ale ani słowem o tym wszystkim nie wspominał. Jedynym sygnałem świadczącym o odczuwanej przez niego presji była bezsenność. Lizzie bardzo to martwiło. Przy niej zawsze starał się panować nad emocjami – pytał o jej pracę w ogrodach Easterly, masował jej obolałe ramię, robił kolację, zwykle dość nieporadne, ale kto by się tym przejmował. Gdy już wreszcie udało im się wyjaśnić wszystkie wcześniejsze nieporozumienia między sobą i w pełni zaangażować w ten związek, Lane praktycznie zamieszkał u Lizzie – a choć ją samą bardzo cieszyła jego stała obecność, to jednak wciąż odczuwała lęk, że lada chwila całkiem straci z nim kontakt.

Czasem myślała, że chyba łatwiej by jej było, gdyby ciskał wokół gromy.

Teraz zaś obawiała się, że nadeszła ta chwila. Z jakiegoś powodu zamartwiała się, dokąd Lane mógł pojechać. Pierwsze miejsce, które przyszło jej na myśl, to Easterly – rodzinna posiadłość Bradfordów. A może Stara Destylarnia, gdzie wciąż jeszcze produkowano i przechowywano rodzinny bourbon? Lub też kościół baptystów, do którego uczęszczała pani Aurora?

Oczywiście próbowała już do niego zatelefonować. Kiedy jednak rozdzwoniła się jego komórka, leżąca na szafce po jego stronie łóżka, Lizzie nie czekała ani chwili dłużej. Szybko się ubrała, złapała kluczyki i pobiegła do swojego pikapa.

Pustą autostradą jechała w stronę mostu, żeby przedostać się na drugą stronę rzeki. Wciąż dociskała pedał gazu, nawet gdy wjeżdżała na wzgórze, a potem z niego zjeżdżała ku brzegowi po stronie stanu Indiana. Jej stary pikap jeszcze bardziej się wówczas rozpedził, przy okazji klekocząc jak szalony, jakby lada chwila miały mu się poobrywać koła lub siedzenia. Lizzie wiedziała jednak, że jej przeklęty gruchot nie może się rozlecieć, ponieważ jest jej teraz niezbędnie potrzebny.

Gdzie jesteś, Lane?

Boże drogi, tyle razy pytała go, jak się czuje, a on zawsze odpowiadał: „W porządku”. Tyle mieli okazji, żeby porozmawiać, a on nigdy z nich nie skorzystał. Tyle razy rzucała mu ukradkowe spojrzenia, szukając wszelkich oznak przemęczenia lub załamania. Ale jakoś nie pojawiały się już między nimi żadne większe emocje – od tej chwili w ogrodzie, jednego intymnego, wyjątkowego momentu, gdy odnalazła go siedzącego pod kwitnącymi drzewami owocowymi i powiedziała mu, że całkowicie się co do niego pomyliła, źle go oceniła, a teraz jest gotowa udowodnić siłę swoich uczuć, przekazując mu akt własności swojego domu, który ma wystarczającą wartość, żeby opłacić prawników mogących uratować jego rodzinę przed upadkiem.

Lane mocno ją przytulił, powiedział, że ją kocha, i odmówił przyjęcia tego daru, tłumacząc, że zamierza sam wszystko naprawić, że jakoś odnajdzie sprzeniewierzone fundusze, spłaci ogromne długi, wyprowadzi firmę na prostą i odbuduje rodzinną fortunę.

A ona mu uwierzyła.

Zresztą nadal nie straciła tej wiary.

Ale od tamtej pory Lane coraz bardziej przypominał grzejnik elektryczny: fizycznie obecny i pełen ciepła, ale też całkowicie nieprzystępny i nieczuły.

Lizzie nie miała do niego o to najmniejszych pretensji.

Było to jednak dla niej dość przerażające.

W oddali, po drugiej stronie rzeki jaśniały i migotały światła dzielnicy biznesowej Charlemont, niczym opadająca na Ziemię galaktyka – fałszywy obraz, piękne złudzenie. Most łączący oba brzegi wciąż był jeszcze podświetlony na zielono i różowo z okazji niedawnego derby; wyglądał jak szykowna tęcza prowadząca prosto do ziemi obiecanej. Na szczęście na drogach nie było jeszcze samochodów, Lizzie zamierzała więc dostać się na drugą stronę rzeki, a potem od razu zjechać na River Road i pomknąć na północ na wzgórze Easterly, żeby sprawdzić, czy samochód Lane'a stoi przed rezydencją.

Nie wiedziała, co zrobi potem.

Nowo zbudowany most miał po trzy pasy po wschodniej i zachodniej stronie, ze względów bezpieczeństwa rozdzielone na całej długości betonową barierką. Przez środek konstrukcji biegły rzędy jasnych świateł, a wszystko dookoła lśniło, nie tylko dzięki oświetleniu, ale też dlatego, że most nie zdążył jeszcze poszarzeć od wiatru i deszczu. Został ukończony dopiero w marcu i oddany do użytku na początku kwietnia, dzięki czemu w całej okolicy znacznie zmniejszyły się korki...

Nagle na prawym pasie ruchu zobaczyła zaparkowany samochód – jej mózg go rozpoznał, zanim oczy zdążyły dobrze mu się przyjrzeć.

Porsche Lane'a. Lane'a!

Lizzie nadepnęła na hamulec jeszcze mocniej niż wcześniej na pedał gazu, a jej rozpędzony pikap nagle przeszedł od w pełni rozwiniętej prędkości do stanu nagłego hamowania, z lekkością wersalki wyrzuconej przez okno z pierwszego piętra. Wszystko się

zatrzęsło i auto omal nie rozleciało się na kawałki, a co gorsza nadal pędziło przed siebie, jak gdyby stara toyota uznała, że włożyła zbyt wiele trudu w rozwinięcie pełnej prędkości, żeby teraz nagle ot, tak po prostu z niej zrezygnować...

Na krawędzi mostu stała ludzka postać. Na samej krawędzi, nad groźną przepaścią.

– Lane! – wrzasnęła Lizzie. – Lane!

Jej pikap wpadł w poślizg i obrócił się, tak że musiała wykręcić głowę, by nie stracić z oczu ukochanego. Wskoczyła z samochodu, zanim jeszcze całkiem się zatrzymał. Zostawiła otwarte drzwi, włączony silnik, na luźnym biegu.

– Lane! Lane!!! Neeee!!!

Lizzie pobiegła w poprzek jezdni i pokonała barierki, które wydały jej się zbyt nędzne jak na zabezpieczenie przed potężnym spadkiem w stronę rzeki.

Lane obrócił głowę w tył...

A wówczas nagle omsknęła mu się dłoń trzymająca metalowy pręt.

W chwili gdy stracił punkt zaczepienia, na jego twarzy pojawiło się zdumienie, czy też raczej szok, który bardzo szybko przeszedł w panikę.

Jego ciało bowiem runęło prosto w pustkę poniżej mostu.

Usta Lizzie otworzyły się na całą szerokość, żeby wypuścić z jej krtani przeraźliwy krzyk.

Niezwykła sceneria amerykańskiego Południa, wystawne przyjęcia,
piękne stroje, służba, prywatne odrzutowce
oraz historia miłosna, od której nie sposób się oderwać. Polecam!

Magdalena Witkiewicz



Bradfordowie zbili majątek na produkcji bourbona i prowadzą
uprzywilejowane, pełne wysmakowanych przyjemności życie.
Opływają w luksus, choć tylko pozornie są szczęśliwi.
Nad utrzymaniem fasadowego rajy Bradfordów niestrudzenie
pracuje służba. Te dwa światy nie powinny się nigdy przeniknąć.
Ale stało się inaczej. Ogrodniczka Lizzie – wbrew zdrowemu rozsądkowi
– zakochała się w synu marnotrawnym Bradfordów,
a ich gorzkie rozstanie jest jak posypana solą rana.

Teraz, po dwóch latach, Tulane Bradford wraca do domu,
a wraz z nim cała przeszłość.
Nikt nie pozostanie obojętny: ani jego piękna i bezwzględna żona,
ani przepehniony goryczą starszy brat, a już na pewno
nie nestor rodu – człowiek pozbawiony zasad i skrupułów,
skrywający wiele strasznych tajemnic.
W miarę jak w rodzinie narastają konflikty, cała posiadłość
wraz z mieszkańcami wpada w wir przemian.
Żeby je przetrwać, trzeba mieć głowę na karku.

www.marginesy.com.pl



9 788365 586773

cena 39,90 zł

PAZDROKIT MEDALNY

WROCZKA



lubimyczytac.pl

EVELINE
COSMETICS

STYLOWI.PL